



Joanna
CHMIELEWSKA

*Zwyczajne
życie*

KLIN

Joanna
CHMIELEWSKA

**Zwyczajne
życie**



Redakcja: Ewa Kłosiewicz
Korekta: Małgorzata Kot
Projekt okładki: Natalia Smoleń
Zdjęcie autorki: Witold Gawliński

Copyright by
Wydawnictwo Klin, Warszawa 2015

ISBN 978-83-62136-77-3

Wydawnictwo Klin
ul. J. Sobieskiego 10 m 72
02-957 Warszawa
tel. +48 501 686 786
e-mail: m.g.klin@op.pl
www.wydawnictwoklin.pl

W dość wczesnych godzinach sierpniowego, cichego, niedzielnego popołudnia Tereska Kępińska siedziała przy biurku w swoim pokoju i patrzyła w okno oczami pełnymi rozpacz. Za oknem, w sennym upale, trwały nieruchomo zalane słońcem lipy, słoneczniki zwieszały swoje ciężkie, dojrzałe łby, świat wydawał się nasycony latem, spokojny i zadowolony z życia, i posępna rozpacz w oczach Tereski nieprzyjemnie kontrastowała z tą rozleniwioną, słoneczną pogodą.

Wnętrze pokoju kontrastowało z nią również. Na biurku, krzesłach i podłodze trwał w bezruchu potężny śmietnik, składający się w największej mierze z wytworów przemysłu papierniczego. Puste szuflady biurka były z jednej strony wysunięte, z drugiej – całkowicie powyjmowane, stojący pod ścianą tapczan nieforemnym stosem pokrywały zdjęte z regału książki i rozsypane odbitki fotograficzne, z półki regału malowniczo zwisała imponujących rozmiarów ścierka od kurzu, na środku podłogi zaś stała wielka miednica z wodą, na

której smętnie kiwały się dwie gąbki. Całość przywozła na myśl lęgnący się z chaosu świat, który zatrzymał się w połowie tworzenia.

Twórczyni tego obrazu siedziała przy biurku, z brodą opartą na rękach, i patrzyła w okno. Wypełniające jej serce i duszę uczucia nie miały nic wspólnego z rozpoczętymi przed południem generalnymi porządkami, a nawet pozostawały z nimi w wyraźnej sprzeczności. W wojnie. Generalne porządki zostały podjęte specjalnie po to, żeby zagłuszyć uczucia i zaabsorbować myśl, ale nie spełniły zadania. Przegrały haniebnie.

Tereska poddała się i porzuciła niewdzięczne zajęcie. Siedziała przy niewidocznym niemal spod śmietnika biurku i wzrokiem pełnym udręki patrzyła w okno. Czekala. Czekala tak już trzeci tydzień. Wytrwale, niecierpliwie, wśród zwątpienia i nadziei, w napięciu, zdennerwowaniu i bez przerwy.

Tereska Kępińska miała szesnaście lat i była śmiertelnie, beznadziejnie, rozpaczliwie zakochana...

Wielka miłość spadła na nią jak grom z jasnego nieba na samym początku wakacji. Było to w jej życiu pierwsze naprawdę poważne uczucie, przy którym wszystkie dotychczasowe całkowicie przestały się liczyć. Wydawało się odwzajemnione, trochę jednak, jej zdaniem, jakby niewyraźnie. Pewne symptomy wskazywały na tak, inne przeczyły im i kazały wątpić we wzajemność, wszystko razem zaś stwarzało atmosferę niepewności i doprowadzało do całkowitego rozstroju nerwowego. Od blisko trzech tygodni czekała na przyobiecaną w chwili rozstania wizytę przedmiotu uczuć, z nadzieją, że bezpośredni kontakt coś wreszcie wyjaśni. O dwa tygodnie skróciła pobyt w górach, wy-

walczywszy sobie w krwawej wojnie rodzinnej prawo powrotu do domu i zyskawszy opinię młodej osoby niezwykle rozgrymaszonej i źle wychowanej. Z wypiekami na twarzy zdenerwowana pani Marta Kępińska broniła córki, sama usiłując bezskutecznie znaleźć jakikolwiek sensowny powód jej uporu i osobliwej niechęci do górskiego powietrza, i tyle na tym zyskała, że cała rodzina postawiła pod znakiem zapytania jakość jej działalności pedagogicznej. Część osób nawet poobrażała się na siebie wzajemnie.

Do Tereski dodatkowe aspekty sprawy w ogóle nie docierały. Wielka miłość była jej wielką tajemnicą i za nic w świecie nie przyznałaby się do niej nikomu. Wracając do domu ogarnięta panicznym lękiem, że uwielbiony mógł już przyjść z tą wizytą i jej nie zastać. Mógł przyjść drugi raz i też nie zastać. Mógł się zniechęcić! Nie mówiąc już o tym, że ileż by wtedy straciła...

A teraz, od powrotu, od prawie trzech tygodni, czekała. Liczyła dzwonki u drzwi i telefony. Nie zrywała się z miejsca, nie biegła otwierać, nie podnosiła słuchawki, tylko zastygała w napięciu, nadśluchując bez tchu i z bijącym sercem. Od trzech tygodni za każdym razem doznawała zawodu. Mało – zawodu! Za każdym razem z absolutną pewnością czuła, że to już koniec, że nie zniesie tego już dłużej, nie przetrzyma następnego dzwonka i następnej godziny oczekiwania. I czekała dalej.

Tereska Kępińska wsiąkła z kretesem...

Generalne porządki w biurku i pokoju rozpoczęła już czwarty raz. Początek roku szkolnego zbliżał się nieuchronnie i działający siłą wieloletniego nawyku ocalały fragment świadomości kazał się jakoś do niego

przygotować. Miała przy tym nadzieję, że ciężka praca zaabsorbuje ją, zajmie i pozwoli chociaż na chwilę oderwać myśl od tego dręczącego, nieznośnego oczekiwania.

Nadzieja okazywała się złudna. Za każdym razem wyglądało to tak samo. Tereska przynosiła miskę z wodą, ścierki i gąbki, opróżniała szuflady i półki z chwalebny zamiarem posegregowania ich zawartości, wyrzucenia rzeczy niepotrzebnych i poukładania ładnie pozostałych, rozpoczynała pracę, doprowadzała ją do kulminacyjnego punktu, uświadamiała sobie nagle, że porządkowane szarpały nie tylko nic jej nie obchodzą, ale w ogóle nie rozumie ich treści, z doskonałą obojętnością zostawiała je własnemu losowi, siedziała nad imponującym pobojoziskiem kilka godzin, posępnie patrząc w okno, po czym wszystko wpychała na powrót byle jak i byle gdzie, przekształcając stopniowo własne biurko w coś w rodzaju zaniedbanej zbiornicy makulatury. Gdyby nie to, że na tapczanie musiała kłaść się spać, a obok biurka musiała przechodzić, prawdopodobnie nie wpychałaby niczego nigdzie.

Spotkanie z obiektem uczuć wyobraziła już sobie około pięćdziesięciu tysięcy razy. Z niezwykłą starannością wytypowała strój i uczesanie, w jakim powinien ją ujrzeć. Był starszy o całe trzy lata; tam, na obozie, odnosił się do niej trochę jak do smarkatej, oglądał ją rozczochraną na morskim wietrze, ze skórą złączoną z opalonego nosa, w kostiumie kąpielowym nie najszcześliwiej dobranym. Teraz powinien zobaczyć wytworną młodą damę, doskonale ubraną, czarującą wdziękiem, spokojną, chłodną i uwodzicielską, doświadczoną i światową. Teraz powinien dostrzec sze-

roki wachlarz jej zalet, przytłumionych uprzednio nie-sprzyjającymi warunkami. Teraz powinien...

Tak, oczywiście, teraz wszystko powinien, w tym celu jednak przede wszystkim powinien w ogóle ją zobaczyć, a zatem powinien przyjść i zastać ją w domu odpowiednio przygotowaną.

Nie pozostawało nic innego, jak tylko czekać. Czekwała więc wytrwale, całe dni spędzając w domu, zdenerwowana do ostateczności, wściekła i nieszczęśliwa.

Tego pięknego, słonecznego popołudnia, ostatniej niedzieli sierpnia, siedziała w domu sama. Młodszy brat nie wrócił jeszcze z obozu, babcia wyjechała na trzy dni, a rodzice udali się do ciotki z wizytą. Tereska odmówiła kategorycznie i ze wstrętem uczestnictwa w tej imprezie. Została w domu, zamieniła swój pokój w rodzaj stajni Augiasza i jak zwykle zastygła przy biurku, patrząc w okno, niezdolna do dalszych, tak rozpaczliwie nieinteresujących wysiłków.

Gdzieś na dnie jestestwa rodził się bunt. Udręka oczekiwania przekroczyła już wszelkie granice wytrzymałości. Stan ustawicznego, z wysiłkiem ukrywanego przed otoczeniem, napięcia stał się nie do zniesienia. Za wszelką cenę, rozpaczliwie i desperacko, Tereska chciała znaleźć coś, co by wywołało jakąś zmianę, wzbudziło zainteresowanie, zaabsorbowało, oderwało myśl od tego koszmarnego, bezustannego czekania.

Gdybym mogła się czymś zająć – pomyślała zgnębiona, w nagłym przeblysku przytomności. – Gdybym mogła tak się zmęczyć do ostateczności, tak się uszarpać jak dziki osioł, żeby już nie móc myśleć w ogóle o niczym...

Rozsunęła łokcie na biurku, spychając śmietnik na boki i zrzucając na podłogę stary atlas i osiem nowych map luzem. Uświadomiła sobie, że coś spadło, ale nie poświęciła temu najmniejszej uwagi. Tragicznym, nieruchomym wzrokiem zapatrzyła się w odłamany częściowo wielki konar drzewa tuż przed samym oknem. Konar trwał w bezruchu w słonecznym blasku, a liście na nim zaczęły już żółknąć.

Przez długą chwilę widok ten nie docierał do jej świadomości i nie mówił nic. A potem nagle spłynęło na nią zbawienne olśnienie.

Rąbać drewno! – pomyślała, zrywając się gwałtownie i przewracając krzesło. – Boże jedyny, przecież mogę rąbać drewno!!!

Przedwojenna, jednorodzinna willa miała lokalne centralne ogrzewanie i bardzo stary, przedpotopowy piec osobliwego typu, wymagający bardziej drewna niż koksu. Przez całą zimę trzeba było rąbać drewno na opał. Rąbanie drewna stanowiło jedno z najulubieńszych zajęć Tereski i aż zdziwiła się, że jej to wcześniej nie przyszło do głowy. Teraz, w lecie, drewno nie było wprawdzie potrzebne, ale przecież mogła narąbać na zapas. W piwnicy z pewnością zostały jeszcze jakieś klocki z ubiegłego roku, a poza tym jest przecież ta gałąź, odłamana i schnąca, którą należy odpiłować!

Do rąbania drewna niezbędne były stare rękawiczki. Gdzie mogły leżeć stare rękawiczki? Ogarnięta jedną tylko myślą, spiesząc się, jakby za chwilę dom miał wylecieć w powietrze, Tereska otworzyła szafę i całą zawartość górnej półki zrzuciła na ziemię. Następnie w podobny sposób opróżniła szufladę. Następnie za-

trzymała się, zastanowiła przez chwilę i wydobyla rękawiczki z kieszeni starego żakietu, wiszącego w szafie na wieszaku.

Następnie popędziła na dół. Z połowy schodów do piwnicy zawróciła na górę i ze schowka w kuchni wydobyla potwornych rozmiarów katowski topór. Z toporem w ręku zbiegła do piwnicy, odstawiała go pod ścianę, wyciągnęła ze skrzyni z narzędziami ręczną piłkę i małą siekierkę, i znów popędziła na górę.

Ogrodowa drabinka okazała się trochę za krótka, Tereska zatem wlaźła na drzewo i ulokowała się na sąsiedniej gałęzi, odrywając przy tej okazji zakład u spódnicy. Zakład był dość duży i oderwany stanowił coś w rodzaju trenu, sięgającego do połowy łydek. Nie zważając na nieistotne drobiazgi, z zapalem przystąpiła do pracy.

Odlamany konar dał się odpiłować stosunkowo łatwo. Spadł na ziemię, a za nim zsunęła się po drabinie Tereska, nieco podrapana, ze śladami bliskiego kontaktu z korą na twarzy i rękach. Dowlokła konar do mocno posiekanego, brzoźowego pnia, popędziła znów do piwnicy i zaczęła wynosić na zewnątrz krótkie, bukowe klocki, mętnie myśląc, że przy tej pogodzie przyjemniej jej będzie rąbać na dworze. Wyniółszy wszystkie, wróciła jeszcze raz po topór, ustawiła sobie pieńek wygodnie, ulokowała na nim pierwszy bukowy klocek i z zaciętością ruszyła do ataku.

Bukowe drewno jest twarde, ale kruche i daje się rąbać dość łatwo. Równe, gładkie drewnienka pryskały na wszystkie strony. Ostrze katowskiego topora błyskało w słońcu, zimowego zapasu ubywało z minuty na minutę, w niepokojącym tempie.

Nie starczy mi – pomyślała Tereska z troską. – I co ja potem zrobię? Piłować ten pagaj na kawałki, czy rąbać, jak jest?

Rąbała w zapamiętaniu, z furią wręcz nadludzką. Popołudnie było gorące, topór potwornie ciężki, niektóre klocki sękate, ale Teresce wszystkiego było mało. Otarła brudną ręką pot z czoła, rozmazując ciemną smugę, i zdecydowała się rąbać konar, jak jest, bez piłowania. Przez głowę przeleciała jej wątpliwość, czy porąbanie na kawałki całego domu stanowiłoby dostateczny wysiłek, i poczuła żal, że nie może porąbać przynajmniej drzwi. Ewentualnie klepek podłogowych.

W poprzek. Wszystkie w poprzek – myślała półprzyciemnie i nie wiadomo dlaczego mściwie. – Wzdłuż nie sztuka. Tylko w poprzek...

Bukowych klocków zabrakło. Zahamowana nagle w rozpędzie Tereska oparła się na rękojeści topora i ponuro popatrzyła na swoją ostatnią nadzieję, wielki, rozgałęziony, odłamany konar. Ponownie otarła pot, odgarnęła opadające na twarz włosy, odstawiła topór i udała się do kuchni. Z kuchennej szafki wyciągnęła wielki wór ze starymi, nylonowymi pończochami, których nie wyrzucano, tylko zbierano dla kuzynki, produkującej z nich dywaniki. Z wora wywlokła jedną pończochę i podwiązała sobie wysoko przeszkadzające włosy. Po czym, z niesłabnącą furią, przystąpiła do walki z konarem.

Pomniejsze gałęzie dały się odrąbać z niewielkim trudem. Pozostała część najgrubsza, długa na półtora metra, zbyt ciężka na to, żeby ją unieść na toporze, zbyt świeża, żeby łatwo przerąbać ją w poprzek. Tereska oparła konar jednym końcem na pieńku, przy-

trzymała go nogą i z całej siły łupnęła wzdłuż. Topór ugrzązł głęboko.

Czekaj, ty bydlaku – pomyślała, wyszarpując go wręcz z nienawiścią – już ja ci dam radę...

Zajęta głuszeniem dręczących uczuć, nie usłyszała dzwonka u furtki, po drugiej stronie domu. Furtka była otwarta. Dzwoniący młody człowiek, jasnowłosy, niebieskooki, opalony, nad wyraz piękny, po krótkim namyśle pchnął ją i wszedł do ogrodu. Kierując się odgłosem uderzeń siekiery obszedł dom dookoła, wszedł na podwórze i zatrzymał się, zdumiony i zaskoczony.

Spocona, czerwona, umazana korą z drzewa i kurzem z piwnicy Tereska, z włosami podwiązanymi kokardą ze starej pończochy, w spódnicy z oryginalnym, asymetrycznym trenem, w długich, balowych, niegdyś białych rękawiczkach i z katowskim toporem w ręku, postępująca z wysiłku i mamrocząca gniewnie inwektywy pod adresem opornego konara, prezentowała sobą widok rzadko spotykany. Długa drzazga odłupała się wreszcie od najgrubszej części. Uradowana sukcesem i pełna triumfu Tereska zatrzymała się na chwilę, podniosła głowę i oto ujrzała przed sobą przedmiot swoich marzeń, tak długo i z utęsknieniem wy-czekiwany.

Czas jakiś żywy obraz trwał nieruchomo w słonecznym blasku. Z jednej strony przybyły młodzieniec, nieskazitelnie wytworny i elegancki, z drugiej Tereska, wyglądająca jak ofiara kataklizmu, pomiędzy nimi zaś brzozowy pień i wielka kupa drewna, z natury rzeczy nieruchawego. Młodzieniec oprzytomniał pierwszy. Z wyrazem lekkiego rozbawienia w oczach przebrnął przez przeszkody i zbliżył się do oniemiałej Tereski.

– Dzień dobry – powiedział odrobinę drwiąco. – Jak się miewasz? Czy dobrowolnie oddajesz się tej gimnastyce?

Do świadomości Tereski z wolna i z pewnymi oporami docierał obraz, na który patrzyła. Usłyszawszy dźwięk głosu pojęła, że nie ma halucynacji. Jeszcze przez chwilę nie wierzyła własnym oczom i własnemu szczęściu, następnie zaś poczuła, że zachodzą w niej dziwne zjawiska fizjologiczne. Krew odpłynęła do nóg, serce podeszło do gardła, po czym wszystko uległo odwróceniu. Krew gwałtownie wróciła do głowy, serce natychmiast zaczęło bić gdzieś w okolicy kolan. Zajęta opanowywaniem tych zmian w działaniu organów wewnętrznych, nie była w stanie odpowiedzieć na nieskomplikowane pytanie gościa. Stała nieruchomo, z szeroko otwartymi oczami i katowskim toporem w rękę, wpatrując się bezmyślnie w swoje szczęście.

Młody człowiek uśmiechnął się pobłaźliwie i nieco bardziej drwiąco.

– Odezwiże się – zaproponował. – Nie poznajesz mnie czy co? Czy może trafiłem z wizytą nie w porę?

Treść jego słów oczywiście nie dotarła do Tereski, ale to nie miało najmniejszego znaczenia. W zupełności wystarczał sam dźwięk. Z największym wysiłkiem zdobyła się na mglistą myśl, że chyba powinna się odezwać. Tak, bezwzględnie musi się odezwać, i to w miarę możliwości inteligentnie, inaczej bowiem on się domysli, co się dzieje i co ona przeżywa...

– Skąd się tu wziąłeś? – spytała słabo, niejasno zdając sobie sprawę, że chyba to nie jest to, co należało powiedzieć. – Trafiłeś?

– Ależ skąd – odparł młodzieniec z ironią i bez namysłu. – Widzisz przecież, że błądzę po manowcach.

W tym momencie Teresce wróciło nieco poczucia rzeczywistości. Nagle uświadomiła sobie swój wygląd i słabo jej się zrobiło na myśl, jakie wrażenie musiała wyrzucić na upragnionym gościu. Nie tak wyobrażała sobie chwilę powitania!

Świadomość tego, co powinna teraz zrobić, otumaniła ją do reszty. Musi się natychmiast umyć, ubrać, uczesać, zaprosić go gdzieś, żeby te wszystkie czynności przeczekał, zatrzeć jakoś to pierwsze okropne wrażenie, wykrzesać z siebie jakieś walory umysłowe, przyjąć go w ogóle, opanować tę dziwną kotłowaną w środku, opanować ogarniające ją nerwowe drżenie i poszczękiwanie zębami... Ogrom powinności sprawił, że Tereska kompletnie straciła głowę.

– Chodź – powiedziała półprzytomnie i pospiesznie. – Idziemy do domu!

Odwróciła się, przelazła przez drewno i stanowczo podążyła w kierunku kuchennego wyjścia, nie wypuszczając z ręki topora. Jej kłopotliwe szczęście po chwili wahania ruszyło za nią, protestując:

– Po co do domu, na Boga, zostanmy w ogrodzie, jest taka piękna pogoda, co ty wyprawiasz, nie przywitaj się nawet ze mną.

Do Tereski nadal nic nie docierało. Nie oglądając się, weszła do domu, wbiegła na schody i otworzyła drzwi do swojego pokoju. W połowie otwierania uprzytomniła sobie nagle, co zostawiła za sobą, kiedy wybiegała rąbać drewno.

Święci pańscy! – pomyślała ze zgrozą.

Na moment zastygła w półotwartych drzwiach, po czym cofnęła się gwałtownie i z całej siły weszła obcasem na nogę młodzieńcowi, który znalazł się właśnie tuż za nią. Drwiący uśmiezek w mgnieniu oka znikł z jego pięknej twarzy. Z nieartykułowanym charknięciem chwycił się za uszkodzoną kończynę, całym wysiłkiem woli starając się powstrzymać od podskakiwania na drugiej. Teresa przeraziła się nieomal śmiertelnie.

– Boże! – krzyknęła tragicznie. – Okropnie cię przepraszam! Skąd miałam wiedzieć, że tu jesteś!

– Nie szkodzi, nie szkodzi – warknął niewyraźnie.
– Jasne, do tej pory jeszcze mnie nie zauważyłaś...

Treść jego słów Teresa znów niejako przeoczyła. Nie miała teraz czasu zwracać na nią uwagi. Usiłowała koniecznie coś zrobić, pomóc mu, gdzieś go posadzić, przy czym w usiłowaniach tych wydatnie przeszkadzał jej piastowany cały czas topór. Młody człowiek wydarł ramię, za które próbowała wlec go po schodach, i usiadł na stopniu.

– Zostaw mnie! – powiedział mało uprzejmym tonem. – Poczekam tu, aż odpracujesz te jakieś swoje dziwne obowiązki i znajdziesz wolną chwilę. Może mi się uda uniknąć ucięcia nogi tym katowskim narzędziem. Pospiesz się, z łaski swojej, bo nie mam zbyt wiele czasu.

Teresa bez słowa skoczyła do swego pokoju. Topór położyła na biurku. Po jakiego diabła ja to tu przyniosłam? – przemknęła jej przez głowę pierwsza trzeźwiejsza myśl. Nie wdając się w szczegółową analizę swoich poczynań, zdarła z wieszaka sukienkę, chwyciła pantofle i wybiegła do łazienki.

– Zaraz wracam! – zawołała w przelocie. – Zaczekaj chwileczkę!

W łazience spojrzała w lustro i poczuła gdzieś wewnątrz nieprzyjemne gorąco. Oprócz plam, smug i różnych kresek na całej twarzy, pod nosem najwyraźniej w świecie miała wymalowane wspaniałe czarne wąsy. Nos lśnił oślepiającym, czerwonym blaskiem. Związane pończochą włosy utworzyły na środku dziwaczny przedziałek, z którym było jej wyjątkowo nie do twarzy. Opanowując rozpaczliwie osłabienie w kończynach, odkręciła kran nad wanną, chwyciła mydło z umywalki i gwałtownie odwróciła się ku wannie, gdzie miała większą swobodę ruchów. Umywalka była mała i dość niewygodna. Mydło wysliznęło jej się z ręki i wpadło do miski klozetowej.

No, to koniec... – pomyślała półprzytomnie. W ułamku sekundy przypomniała sobie, że w całym domu nie ma innego mydła, że przy wczorajszej przepierce został zużyty cały proszek i reszta płatków mydlanych i że jedyne, co zostało, to proszek do szorowania garnków i ług do mycia podłogi w piwnicy. Ponadto po proszek do garnków i ług musiałaby zejść na dół i znów w tym stanie przechodzić obok niego...

Przez długą chwilę Tereska, jak uosobienie skamieniałej rozpaczy, klęczała przed sedesem, wpatrując się tragicznym wzrokiem w leżące głęboko na dnie syfonu mydło. Potem przeleciało jej przez głowę, że nie ma ratunku, że nie umyje się aż do jutra, że jutro będzie musiała w takim stanie, jak jest, wyjść na ulicę, udać się do sklepu albo do kiosku... A potem ze straszliwą desperacją zamknęła oczy, sięgnęła ręką i wyłowila mydło.

Pech! – myślała rozpaczliwie, czesząc się i pudrując lśniący nos. – Cholerny pech! Dlaczego kiedy indziej wszystko gra, a teraz nagle zidiociało? Boże, to przeznaczenie, beznadziejne, czy ja muszę być taką kretynką?

Półprzytomna ze zdenerwowania i z przejęcia, równocześnie zgnębiona, zrozpaczona i niebotycznie szczęśliwa, z bijącym sercem, spiesząc się szaleńczo i usiłując opanować przyływy owego osłabienia w rękach i nogach, upuściła krem do opalania, zrzuciła z półeczki buteleczkę z czystą benzyną, która stłukła się u jej stóp, i strąciła do wanny kubki, szczotki i pastę do zębów. Zmieniając pantofle zauważyła, że ma kompromitująco brudne nogi. Musiała je umyć. Czas leciał nieubłaganie, a woń rozlanej benzyny przenikała wszystko.

– Bogusiu, okropnie cię przepraszam – powiedziała ze skruchą, wychodząc wreszcie z łazienki. – To chyba strasznie długo trwało, ale musiałam się umyć. Jak się czujesz?

Boguś siedział na stopniu, trzymając się za nogę, z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Spojrzał na Tereskę i pociągnął nosem.

– Perfumy masz dość oryginalne – zauważył krytycznie, krzywiąc się nieco. – Trzeba przyznać, że czas wizyty u ciebie spędza się raczej nietypowo. Szkoda, że muszę już iść.

Noga przestała go już prawie boleć, ale był zły na Tereskę. Wstąpił do niej tylko na chwilę, tak sobie, korzystając z okazji, że znalazł się w tej okolicy. Ciekaw był trochę, w jakim stopniu ona go pamięta. To całe za-

mieszanie zirytowało go nad wyraz, na domiar złego ta noga, w planach wieczoru miał tańce...

Wstał ze stopnia i spróbował stanąć. Wydawało się, że jest w porządku.

– Szkoda, że muszę już iść – powtórzył z uprzejmym żalem.

Tereska dopiero teraz zrozumiała, co on mówi, i zabrakło jej tchu.

– Jak to? Dlaczego musisz? – spytała zdławionym głosem. – Przecież ledwo przyszedłeś! Zejdziemy na dół, pokażę ci ogródek, nie powiedziałaś mi jeszcze, co z twoimi studiami? Jesteś przyjęty?

Boguś zaczął schodzić ze schodów.

– Nie wiem jeszcze, możliwe, że będę musiał jechać do Wrocławia, bo w Warszawie są trudności. Brak miejsc. Staram się załatwić, ale nie wiem, czy mi się uda.

Tereska schodziła za nim na uginających się nogach.

– Benzyna mi się wylała – powiedziała półprzyciemnie. – Wszystko spadło. Chodź do ogrodu. A kiedy będziesz wiedział? – W środku robiło się jej zimno i coś ją zaczynało dławić w gardle. Ledwo przyszedł, a już chce iść... Nie, to nie o to chodzi. Do Wrocławia... Miałby wyjechać do Wrocławia?! To potworne!

– Nie wiem, w tych dniach się chyba rozstrzygnie – powiedział Boguś i spojrzął na zegarek.

– Mam zdjęcia – powiedziała Tereska pośpiesznie.
– Te z obozu, już gotowe. Chcesz obejrzyć? Zaraz ci przyniosę!